MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 60. WARSZAWA, 27 GRUDNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

GWIAZDA POLSKI

PRAGNĘ przy opłatku w serdecznem kole przyjaciół „Myśli Narodowej" podzielić się swoją wiarą w gwiazdę Polski. Nie samym nastrojem chcę się dzielić, lecz tem, co widzę, a co mi dodaje otuchy i jest zarazem uzasadnieniem mojej wiary.

Mam na myśli przejawy żywotności dziejowej narodu. Nie wszystko przedstawia się dobrze w danej chwili na arenie publicznej, w dodatku uciska kryzys gospodarczy. To są rzeczy przejściowe. Zadatki przyszłości leżą w psychice społeczeństwa.

Jest coś symbolicznego w tem, że nasza myśl historyczna dobiera się do fundamentów świątyń w Wilnie i Gnieźnie. Skłania nas do tego nie tyle ciekawość, ile chęć wzmocnienia fundamentów. Sięgamy do fundamentów naszej cywilizacji. A tak żywo zajmują nas obecnie tamte zawiązki życia, jak doniedawna wiek XIX z jego *Requiem* nad grobem Polski. Przezwyciężyliśmy osłupienie, w które nas wprawił upadek, i wyobraźnia nasza już swobodnie wiąże się z przeżyciami najdawniejszemi narodu, jednem skrzydłem w przeszłość, drugiem w przyszłość uderzając.

Trzeba było kilkunastu lat niepodległego życia, aby odżyła wyobraźnia polska w dziedzinie, która zdawała się być najtrudniejszą do odzyskania, mianowicie w przedstawianiu sobie jasnem konkretu narodowego. Tyle razy wyrażałem ubolewanie, że Polska zamieniła nam się w jakiś symbol literacki, jakiś znak werbalny, którego wymawianiu nie towarzyszy realny obraz, wypełniający konkretną treścią owo „My — Polacy". Widzę teraz coraz wyraźniej, że jest już to zjednoczenie w żywej psychice narodu: odżyło dawne polskie Ja, wypełnia się treścią świadomość historyczna. Dziecinne to, czy zdziecinniałe wyobrażenie, że Polskę stanowimy: my Kraków, lub pow. Tarnowski, my Nowogrodzkie, my Racławice — a reszta to tylko mgławica. W obrazie Polski dzisiejszej występują wartości miejsc i czasów z logiką perpektywiczną. Rozwinięta do nieznanych przedtem rozmiarów literatura krajoznawcza i historyczna dopomaga dzielnie naszej pracy umysłowej nad formowaniem naszego Ja narodowego, sięgającego poza granicę państwa.

Odżywa bowiem nie nasze Ja administracyjne, lecz coś więcej, bo sam byt psychiczny, którym jest Naród, podmiot historji. Wydane świeżo dzieło o Prusach Wschodnich, uświadamiające nam, czem był i czem jest ten polski kraj, pozostawiony złośliwie poza granicą państwa, przyłącza tę ziemię psychicznie do podmiotu „Polska", jest wyrazem duchowym zjednoczenia jej z Polską. Że to nie jest zjednoczenie tylko w wyobraźni, świadczy przepiękny zbiór pieśni ludowych mazurskich z tego kraju (w opracowaniu profesorów Nitscha i Bystronia). Pieśni są te same, co pod Warszawą, to samo serce, te same marzenia i wspomnienia. Kiedy taki głos dochodzi, to znaczy, że ta ziemia na nas czeka, aby z nam razem tworzyć dalsze dzieje. Gdy się to wie, gdy wyobraźnia narodu to obejmuje, gdy sobie uprzytomniła, co warte jest dla nas Pomorze, to już nie rzewność się rodzi poetycka, ale bunt przeciwko krukom, nad ziemią naszą kraczącym, jakobyśmy byli jakiemś ciałem bezwładnem. Polska już nie jest czemś biernem, nie jest już w defensywie, ona jest w stanie psychicznym ofensywy.

Żeby to wzmożenie samopoczucia zrozumieć, przypomnijmy sobie pierwsze jego drgnienie (po długim okresie zapadu) przed laty kilkudziesięciu, kiedy zaczął się ruch wszechpolski na tle demokratyczno-narodowem. Co mu dało impuls? To, że właśnie podrosło w b. zaborze rosyjskim pierwsze pokolenie wiejskie, urodzone w warunkach samodzielności gospodarczej i społecznej. Ci, którzy to wzmożenie psychiczne pierwsi sobie uświadomili, wzięli z tego asumpt do uświadomienia i organizowania żywiołu ludowego. Niebawem powstało stronnictwo DN, które w programie ujęło ten moment historyczny w taką formułę:

„— — — Naród nasz rośnie w siłę, rozwija się i postępuje a główną podstawą tego wzrostu sił jest kulturalny i polityczny postęp, odbywający się szybko w naszych masach ludowych“.[1])

Twórcy programu w motywach podają, że „postęp ten jest jeszcze w początkach, ale szybkością swą zapowiada doniosły przewrót w życiu i twórczości społecznej naszego narodu“. Zapowiedź się spełniła. Pomimo przeciwdziałania temu postępowi myśli narodowej, Polska stała się wkrótce jednostką polityczną nowoczesną, z którą trzeba się było liczyć w czasie wojny.

A po wojnie nastąpiło coś więcej, niż uwłaszczenie warstwy rolniczej, bo uwłaszczenie narodu. Czyż to nie miało się wyrazić w psychice nowego pokolenia? Dzieci polskie, które się rodziły w okresie wojny lub przychodziły wtedy do świadomości, a więc od jakiegoś 1910 r. żyjące, — dziś dorastają. One to nadają Polsce już obecnie świeży życia rumieniec, ich młoda krew w żyłach narodu pulsuje, ich fantazja w jasne zorze nas prowadzi, ich wola wkrótce będzie decydowała w Polsce i o Polsce.

Gwiazda Polski to młode pokolenie prowadzi; wszystkie nasze nadzieje i wiara nasza i miłość mu towarzyszą. Będą to Polacy nie z przypadku, ani z literatury, ani z lustra lub z orderu, ale integralni, organiczni, dla których naród będzie ich naturą i urodą, dla których światłem przewodniem będzie naturalne poczucie dobra narodu. Nie będą stukali palcem o palec, czy iść za narodem, czy „międzynarodem“, czy Polska ma być mała czy wielka. Nie będą Polski wyznawali półgębkiem.

Daremne wysiłki stawania na drodze pochodowi młodych. Z czego budować barykady? Z idei Paneuropy? Z żydowskich haseł postępu? Z bolszewickiego bezbożnictwa i bezczłowieczeństwa? Z truchła masońskich koncepcyj, odmładzanych, metodą Woronowa, przez małpy? Nic z tego! Życie idzie silne, odmłodzone poczuciem dawności i swoistości. I trafia w rytm dziejów, bo właśnie bynajmniej nie na uniwersalność się zanosi, lecz na samostarczalność bytów narodowych. To drgnienie pełnego życia daje się odczuwać nie tylko wśród młodzieży uniwersyteckiej. Obóz Wielkiej Polski pomimo prześladowań i ubogich środków materjalnych zatacza coraz szersze koła wśród ludu wiejskiego i robotniczego. Każdy dziś szuka rozwiązania zagadnień i zastosowania swych sił — w rozwoju życia narodowego.

Obóz narodowy nie da stropić szantażem, iż jego wiara w naród jest zdradą państwa. Cóż było celem jego prac i walk, jak nie stworzenie państwa niepodległego? A jakaż teraz jego myśl, jak nie utrwalenie tej niepodległości przez oparcie państwa na mocnych podstawach narodowych? Nie z państwem naród walczy, lecz o dobro państwa. Ciężką odpowiedzialność wzięli na siebie za demoralizację myśli politycznej ci, którzy w celu ratowania „mniejszościowej“ pozycji, stworzyli tę djalektyczną przeciwstawnię: naród i państwo. Państwo jest własnością narodu; on właśnie chce je ratować i dźwignąć.

Padały w naszych oczach wielkie państwa, topnieją od kryzysu, jak pałace z lodu, konstrukcje kapitalistyczne; jedno jest tylko pewne: *żywa siła narodu*. Na niej przyszłość budujmy.

Nowe czasy, które przychodzą, przeczuł Wyspiański. Dla nich to jego kolenda:

„O Boże, pokutę przebyłem
i długie lata tułacze;
dziś *jestem we własnym domu*
i krzyż na progu znaczę“.

ZYGMUNT WASILEWSKI

[1]) Program z r. 1897, rozwinięty w r. 1903. Kraków. Nakładem „Przegl. Wszechp.“, str. 9.

P I A S T

JESTEŚMY krajem chłopskim podobnie jak Czechy. Trzy czwarte naszej ludności — to drobni właściciele ziemscy. Stan włościański stanowi fundament naszego społeczeńswa. Jaką była dotychczasowa rola włościanina, jako obywatela państwa? Siegnijmy w przeszłość.

Tradycje Bartosza Głowackiego, patrjotycznego bohatera z pod Racławic, w sukmanie i z kosą w ręku — okazywały się słabsze, niż tragiczny wpływ niewoli na jego wnuków. Pomimo że wszystkie powstania polskie, przez szlachtę poczynane i głównie krwią szlachecką za dawne grzechy okup czyniące, miały w programie swym oswobodzenie chłopów — jednak włościanin polski, pozbawiony państwowości własnej, zawdzięczał zniesienie pańszczyzny rządom zaborczym. Rządy owe wyzyskały okoliczność tę w sposób mistrzowski, zastrzykując w pierwotną, ciemną duszę chłopa nienawiść do panów — wyzyskały całą politykę gminną, serwitutową, podatkową i t. p., aby rzucić kość niezgody między dwór i wieś. Wieś polską utrzymać w ciemnocie i nienawiści dla wszelkich niepodległościowych tradycyj, bo orzeł polski ma szlachecką koronę na głowie, oto cel, do którego zmierzała Rosja i Au-

strja, choć różnemi drogami. Czy urzeczywistniły swe zamiary?

Wynarodowiano włościanina polskiego przez rządy zaborcze, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, gdzie poza nielicznemi wyjątkami oporu — więcej z uczuć religijnych, niż narodowych wypływającego (Podlasie, unici) — stał się on, politycznie rzecz biorąc, lojalnym obywatelem państwa rosyjskiego. Lepiej było w Poznańskiem, gdzie była szkoła i oświata: dziecko polskie nie chciało modlić się w języku wroga, ale i tam moment religijny był silniejszy niż narodowy, a tragiczna postać Bartka zwycięzcy, zdobywającego francuskie armaty i odznaczonego pruskiemi orderami za polską krew i polskie bohaterstwo, stała się wymowną prawdą, zaklętą w nieśmiertelne dzieło sztuki.

Czem było w większości swej włościaństwo pod koniec 19 wieku?

Potężną masą, etnograficznie polską o wybitnych, żywiołowych niemal cechach — nie tyle narodowych, ile raczej narodowościowych, które tak znakomicie odmalował Reymont w wielkiej swej epopei — „Chłopi".

Masą ciemną, nieoświeconą i bierną, a jednak noszącą w sobie jakąś głuchą moc, jakąś siłę, idącą od tej ziemi, do której przyrosła od prawieków, — masą podobną do rudy, mającej w łonie swem żyły szlachetnego kruszcu, ale pokrytą pokładem błota, iłu i piasku. Taką zobaczył ją Wyspiański i orzekł krótko: „Chłop potęgą jest i basta". Ale potęga to jeszcze nie świadomość narodowa i dojrzałość polityczna. Potęgą również jest i woda, płynąca z górskiego potoku, potęgą każdy niepohamowany żywioł — ale siłą dobroczynną staje się on wówczas dopiero, gdy może być świadomie użyty do pewnych celów i rozpędem swym koła życia obracać. A życie należy do tych, co mają siłę.

Wiedział o tem Metternich i polskie życie za pomocą chłopskiej siły chciał opanować w Galicji — wiedział rząd rosyjski — i wiedzieli ci patrjoci polscy, którzy w końcu 19 wieku i dalej potem tę wielką chłopską potęgę chcieli posiąść i do wielkich narodowych celów skierować. — Wiedzieli również i inni...

Dlatego w okresie poprzedzającym odzyskanie naszej niepodległości rozpoczyna się walka, której echa rozbrzmiewają i dziś, tylko ze stokroć większą siłą. Jest to walka o duszę chłopa. Moskal chciał na niej wygrać *„Boże caria chrani"*, patrjoci chcieli wskrzesić w niej Bartosza Głowackiego, a znaleźli się i tacy, którzy usiłowali uczynić z niej najpotężniejszą broń w walce klas, w tej walce, która przez cały 19 wiek i początek 20 przygotowywała grunt pod wielkie wydarzenia dziejowe. Jesteśmy ich świadkami po dzień dzisiejszy. Walka klas zatrzęsła fundamentami wszystkich niemal państw europejskich, a u nas zaczęto gorliwie rozdmuchiwać ją wówczas już, gdy o wskrzeszeniu Państwa Polskiego myślała zaledwie garstka patrjotów.

Czem stała się w życiu nowoczesnej Europy walka klas, podsycana dziesiątki lat przez tych, którzy mianowali się opiekunami uciśnionych, reformatorami ludzkości i prorokami nowego ustroju świata, widzimy dziś w jej rezultatach. Na Wschodzie, gdzie przeprowadzono ją konsekwetnie do końca — ruina cywilizacji i ruina gospodarcza, a na Zachodzie — bezsilność wobec chaosu, spowodowanego przez wielki kryzys światowy. Klasa robotnicza niema już tam z kim walczyć, bo przedsiębiorstwa coraz bardziej kurczą się, a walka klas, jako lekarstwo na bezrobocie, staje się demagogicznym frazesem, wyzutym z wszelkiej realnej treści. W Polsce kazano chłopu walczyć z ziemiaństwem i wmówiono w niego, że jego bratem po pługu jest robotnik fabryczny. Byli tacy, co nawet na wojnę z bolszewikami kazali mu iść dlatego, aby otrzymał od państwa ziemię za darmo. Są ponoć chłopscy synowie, jak poseł nasz Milik, którzy za takie argumenty gotowi walić w pysk, jednak byli i tacy, którzy podobnych argumentów używali w swych mowach politycznych — a cierpliwa ziemia polska nosi ich po dzisiejszy dzień. Całe pierwsze 10 lat w państwie Polskiem „nabijano chłopa w butelkę", jak kto umiał, najwięcej zaś ci, co się jego opiekunami, przyjaciółmi mianowali. Pod hasłem „niech żyje rząd robotniczy i włościański" wysługiwał się chłop pod przewodnictwem różnych znakomitości sejmowych — socjalistom i socjalistycznej polityce taniego chleba. Wzamian za gruszki na wierzbie, w postaci owych nadziałów ziemi — kazali mu posłusznie głosować za wszystkiemi wnioskami, które wprowadzały całą politykę rolną na bezdroża, byle tylko trzymać front lewicowy pod batutą rzekomych ludowców z „Wyzwolenia", wysługujących się bądź socjalistom, bądź potentatom wielkiego przemysłu. No i poczciwy siermiężny poseł szedł razem z tymi, którzy wołali o tani chleb, o tanie mięso, tanią słoninę, a nie o tani węgiel, żelazo i sól — bo co do tego było zawsze porozumienie z Lewiatanem. Szedł razem z tymi, którzy sprowadzali bez cła do Polski zboże w latach urodzaju, amerykański smalec, zagraniczny ryż, a nie pozwalali wywozić z Polski nic — którzy nawet w ustawie o reformie rolnej, niby dla dobra włościan uchwalonej, zastrzegli pierwszeństwo przy kupnie dla bezrolnego przed małorolnym i zabronili temu małorolnemu dokupić ziemi ponad jakieś z doktryny socjalistycznej wypośrodkowane *maximum*.

Rządy pomajowe nie wniosły do polityki gospodarczej absolutnie nic, z czego włościanie, jako wytwórcy mogliby czerpać korzyści. Widzimy bezsilność wobec kryzysu rolnego, kredyt długoterminowy poderwany, podatki komunalne potrojone — i zawsze to samo zjawisko — zboże, mięso, kartofle i mleko darmo, za to węgiel żelazo, smary, skóry i t. d. drogie. W tej dziedzinie Piłsudczyzna i Moraczewszczyzna rządzi w Polsce tak, jak rządziła na początku — a choć porozumiewa się z zarządami karteli, które zapełniają sobie kieszenie nie zawsze z korzyścią dla akcjonarjuszów — to jednak można śmiało rzec, iż ci, którzy pierwsi zaszczepili socjalistyczną myśl rządom w Polsce, dziś są w stadjum końcowem jej urzeczywistnienia, ku wielkiej uciesze międzynarodowych organizacyj, które ulokowały nad Wisłą swój *business*.

Co ma wspólnego z tym kierunkiem gospodarki państwowej chłop polski — co ma wspólnego rolnictwo?

Rolnictwo, zwłaszcza drobne, jest czynnikiem najmniej związanym z kapitałem międzynarodowym, czynnikiem najbardziej biegunowo przeciwstawnym socjalizmowi. Niema chyba na świecie bardziej kłamliwego hasła, jak rząd robotniczy i włościański. Przykładem Rosja, gdzie, jeśli kto powali utopję socjalistyczną, to właśnie chłop. Chłop w polityce musi wyraźnie przeciwstawić się socjalizmowi i etatyzmowi dla swego własnego interesu przedewszystkiem. Dlatego wszystkie dzisiejsze stronnic-

twa chłopskie, ponieważ wyraźnie nie przeciwstawiają się socjalistom — nie są istotnie chłopskiemi. Nie było niem ani „Wyzwolenie", ani dzisiejsza „Partja Chłopska", ani nawet stronnictwo „Piasta", które w przeszłości dla nierealnej fikcji (wszystka ziemia dla chłopów) poświęciło rzecz arcyrealną, to jest walkę o konjunkturę w rolnictwie, kumając się lub jednocząc z socjalistami. Dla chłopa rozumnego, podobnie jak i dla uświadomionego rzemieślnika, niema dziś miejsca ani w lewicy chłopskiej, ani w lewicy socjalistycznej. Czy jest dlań miejsce w „sanacji"? — Musiałaby chyba wyrzec się etatyzmu i Moraczewszczyny, zaniechać konszachtów z żydami, wymówić dom niektórym panom z wielkiego przemysłu i zacząć szanować prawo i religję w życiu politycznem. Ale wtedy przestałaby być „sanacją".

Dlatego chłop musi znaleść dla swej polityki miejsce gdzieindziej. Gdzie? — niech wybiera — ale jakkolwiek ten wybór wypadnie, stwierdzić należy, że on właśnie przedewszystkiem oprzeć się musi na Kościele Katolickim — bo pamięta Wrześnię i wóz Drzymały. On musi się przeciwstawić żydom, bo inaczej bez koszuli chadzać zacznie, on musi kolonizować kresy wschohnie — a więc państwo narodowe urzeczywistniać będzie itd. itd. Czy zatem chłop nie stanie się w przyszłości najtęższym czynnikiem w urzeczywistnianiu haseł obozu Narodowego, a to z natury rzeczy — poprostu dlatego, że inaczej być nie może?

Lud wiejski dziś — to nietylko $^2/_3$ zaludnienia kraju, ale rezerwoar całego niemal przyrostu ludności, więc przyszłość miast i przemysłu — a przytem jest to żywioł z natury tęgi i zdrowy, ma rasę — dość spojrzeć na księżaka lub zakopiańskiego górala. Ilekroć wstępował na wyższe piętra cywilizacji, wnosił owo zdrowie i tężyznę nawet do literatury — Jan Kasprowicz i Reymont. Tylko dziwnie jakoś do polityki szczęścia nie miał. Zbyt często nafrafiał na faktorów, podobnie jak ziemianie. A faktorzy w polityce gorsi ponoć, niż w handlu. Pośrednictwo w polityce kosztowniejsze, niż przy sprzedaży krów, zboża i nierogacizny — tylko djabelnie trudno jest dziś owo pośrednictwo z polityki usunąć. Ale życie idzie naprzód! Naród dojrzewa! Przez polską wieś przechodzą nowe dreszcze, jakby powiew budzącej się wiosny, która z zamarzłej ziemi krzesa nową siłę. Bo to, co dotąd działo się w duszy chłopskiej, to jeszcze nie była Polska prawdziwa. Hasła: precz z panami — dajcie ziemi — sami sobie — to nie była Polska — to byli najczęściej aktorzy, przywdziewający piastową sukmanę, ale na wybory, lub tacy, którzy w duszach nie mieli ani Piastowej godności, ani Piastowej siły.

Przez polską wieś przechodzą dreszcze, czuć je już na zebraniach, czuć dziś w chłopskim gniewie, który się budzi tu i tam i woła, waląc w stół: „Psia krew, źle się dzieje, coś nie tak... to nie Polska... czas z tem zrobić porządek". I wzmaga z dniem każdym w chłopskiej piersi troska o dobro Rzeczypospolitej, o te umiłowane zagony, poczucie odpowiedzialności — świadomość, że przecie gospodarzem w Polsce jest on — Piast prawdziwy, czyli chłopski patrjota polski. Jeszcze go niemasz w rządzie, jeszcze nie przemówił jak należy do narodu, ale jego kontury w życiu naszem zarysowują się coraz dokładniej, coraz mocniej.

Dziś, jutro — chłopski syn zastąpi miejsce żyda na uniwersytecie polskim, sięgnie po płomień wiedzy i kultury, a wtedy najliczniejszy stan u nas zabierze głos — nie przez usta samozwańców i szalbierzy politycznych, ale sam z siebie, z głębi kochającego swój kraj serca.

Jakże mizernie wyglądać będą przy nim dawni jego trybuni i opiekunowie!

On sobie już bez nich poradzi.

MIECZYSŁAW FIJAŁKOWSKI

„WARSZAWA"

BAJKA — cóż przyjemniejszego? Czemuż literatura tak rzadko potrafi nam bajką czas umilić? Ale oto za wiele nudnych, które w ostatnich czasach prawiła chętnie, zrewanżowała się pięknie „Warszawą" [1]) Godlewskiego, gdzie opowiedziane cztery podróże w czasie Jacka Wolskiego.

Tytułowej bohaterki, Warszawy, Stefan Godlewski nie lubi serdecznie. Swój wstręt do brzydoty jej podwórek i ulic zaznaczył dobitnie w ostatniej noweli zbioru („Wokulski"). Któż odrazy tej nie podzieli? Ale zna i miasto piękne, włożone w tamto drugie, nienawistne. Czasem spotkają się oba w jednym domu, lecz kontrastu między niemi nic nie zgładzi. I kiedy autora Warszawy przygnębia niemiłosierna szpetota ul. Wspólnej lub Kruczej, to jakże inne budzi w nim uczucia widok Kanonji, Białego Domku w Łazienkach, lub szerokiej wstęgi wiślanej. Zrodzonej tak, a zasilonej imaginacją, sympatji — starczy, żeby jej odruchem przenieść Jacka Wolskiego (bohatera opowiadań) — w światek bajki; w czasy Warszowej, czy błogosławionego Marcina Baryczki. Nie dosiadając machiny, na której wellsowski podróżnik w czasie odwiedził kraj Eojów i Morloków, Jacek poruszał się jedynie energją liryki — a jeździł bezpiecznie.

„Poruszał się": — właśnie, energja ta uzdolniła go jeno do podróży, bo „liryzowania" w książce darmo szukać. Mamy tam tylko przedmiotowe i ścisłe sprawozdanie z przygód Jacka. Styl suchy: takim nam opowiadać o zdarzeniach fantastycznych! Ani śladu „poezji", jakby nad całością czuwał opiekuńczy duch Grabinki. Liryka cała weszła w stylograf, żeby dobrze nazwał przedmioty. I najciekawsze zagadnienie, przed jakiem stawia krytyków to nowe zjawisko literackie, to sprawa stylu i wyobraźni.

Zacznijmy od drugiej. Tej próba istotna nie w przedstawieniu nadzwyczajności, lecz w tem, że cokolwiek przedstawi, wolno jej widzieć tylko dobrze i pokazać rzetelnie. To ultimatum; ale fantazji Godlewskiego ani się śni wymigiwać; jej główna ambicja w tem, żeby warunków dopełnić najformalniej. Co widzi, do tego się przywiąże: zaczem widzi lepiej. Godlewski należy do nielicznych dziś artystów, co zwierzają się ze swych przywiązań, gdy inni tylko z tego, że marzenia nie mają. Realizm jego jest czuły, bo wizyjny

[1]) Stefan Godlewski. „Warszawa". Nakładem T-wa Wydawniczego „Patria". Warszawa, 1931.

Dlatego, przy całej „suchości“ stylu, doskonale zastępuje lirykę.

Ten sukces odnosi wyobraźnia nawet przy tej skłonności autora do formalizowania, o której wyżej napomknęliśmy. Ustosunkowanie słów do wizji — to znalezienie formułki najlepszej, najprostszej na określenie rzeczy. Muza Godlewskiego, szukając formułek najlepszych, staje się ostrożna. Wyobraźnia traci impet odkrywczy: poruszenia jej stają się logiczne, a nie instynktowne. Intelektualizuje się i śledzi za „logiką“ i „konsekwencją“ obrazów, a mniej wpatruje się w przyrodę wizji. Szybko zamyka się w kręgu swoich pomysłów, i już go nie rozszerza; sili się poprawić nie wzrok, a słowo.

Ale zaobserwujmy przy pracy tę intelektualną wyobraźnię. Oto Jacek Wolski, postradawszy trzewiki w Łazienkach, wybiega na Agrykolę:

„Zmęczony wędrówką bez butów (— musiał stąpać ostrożnie, by nie przekłuć skarpetki którąś z tkwiących w błocie gwiazd, albo, co gorzej, nie wpaść z kretesem w niebo —) poeta przystanął powtórnie przy studzience, podobnej do nagrobka z urną, pod wzgórzem porosłem przez ogród Botaniczny... Przejeżdżał pusty taksometr. Młodzieniec chciał go zatrzymać, lecz mechaniczne konie, wprzężone w motor, spłoszyły się i pierzchły w panicznym popłochu“.

Pomysłom tym nie można zarzucać braku konsekwencji: z upodobania do niej się zrodziły. Ale nie mają tajemniczej suggestywności tworów, w całości byt swój wyprowadzających z wyobraźni. Mają realność raczej konwencji ludzkiej, niż przyrody. Gwiazda — zauważmy — jest gwiazdką nie z nieba, lecz z obrazka. Tylko taka mogłaby kłuć promykami.

Gdy czytamy, że niebo wieczorne nad Łazienkami „było podobne do odwróconej czasy, z której wyciekły ostatnie krople miodu“ — to znowuż, i jeszcze wyraźniej, będziemy mieli do czynienia z ćwiczeniem logizującej wyobraźni. Kto zechce obraz uzmysłowić sobie, albo narysować, natknie się na nielada trudności. Jest w porównaniu przecież sens oderwany. Z nieba przestał się lać żar — z czaszy miód; niebo jest „kopułą“, czasza — odwrócona, i t. d. Ale zagadnienie światła, koloru, kształtu, słowem — konkretnego obrazu — rzecz prosta, rozwiązać się tak nie da.

Pilna Muza Godlewskiego, zajęta wynalezieniem formułek, wcale nie gardzi łączeniem konwencji i wizji, pod warunkiem, że „logice obrazu“ stanie się zadość. Lubi nawet serdecznie logikę najbardziej powierzchowną, rzekłbyś, tylko gramatyczną. Jakaż inna ubiera wdziękiem powiedzenie: „Nieżzęte przez sierpień gwiazdy“?

Przez wybór, przez niechęć do instynktownego ruchu, wyobraźnia Godlewskiego pozostaje intelektualną i tam, gdzie twory jej nie mają nic wspólnego z obrazem konwencjonalnym, ani logizowaniem. Przez niechęć tę traci coś: sztuka (mówiąc językiem warcabów) bierze jej chucha — a jednak wyobraźnia partję wygrywa: rozmysł ma za swoją dystynkcję, uprości dużo, a z niewielu potrzebnych szczegółów wybornie skompletuje obrazy.

A zresztą poeta czasem przemówi może i bez nadzoru autora:

„U wstępu w Krakowskie Przedmieście (Jacek) obejrzał się na Stare Miasto, chwalące Boga strzelistością dachów, kolumną Zygmunta, kościołami. Czerwień karpówki i patyna miedzi godziły się cudnie z heraldycznym lazurem niebios, u których zenitu obłok srebrzysty przybrał kształt godła świętojerskiego. Aureola Św. Jana i gałka hełmu wieży zegarowej błyszczały zwycięsko; ołowiane trytony dęły na konchach wieczny hejnał, a topole podobne olbrzymim pochodniom dymiły zielonawo. Jacek nabrzmiały był wiosną, jak owe drzewa. Dusza jego również puszczała pędy. Przepełniało ją pragnienie rozrostu, kwitnięcia i owocowania, a także wdzięczność niewysłowiona za Dobroć Bożą“.

Tu kontroler pozwolił na wylew poety. Ale naogół Godlewski twórczy żyje w wielkim ucisku. Nie pisze, jak myśli, narzuca sobie szereg ograniczeń. Dąży do celności i ekonomji słowa, do lekkości i jasności zdania, do symetrji w kształtach całości. Łatwo rozpoznać w tych postulatach zasady estetyki „łacińskiej“. Widocznie wzory literatury francuskiej wraziły się głęboko w smak intelektualny Godlewskiego, pokochał je najszczerzej, lecz pozostały mu obce. Gdy sztuka ograniczenia się przychodzi Latynom jakby naturalnie, gdy w jej kanonach i tradycjach genjusz łaciński jakgdyby znalazł swobodę, to snadź Godlewski pokochał swobodę — cudzą. Siebie do niej zmusza. Uroił inny, niż instynktowny ideał sztuki. Rozmiłowany we France'ie, w Hérédii, sam chce się wydać, niczem sztuczny Gall, sztuczny Kubańczyk.

Voltaire, France, Prus, Dmowski — pisali, jak myśleli, i nie zależało im na innym wyrazie. To szereg naturalnych niejako, polskich i francuskich Latynów. Proza Godlewskiego, to arcyprzyjemny, lekki i strawny w konsumcji — wytwór mozołu twórczego.

Z właściwościami „genjuszu łacińskiego“ połączyło Godlewskiego — artystę podobieństwo wielu rysów charakterystycznych. Ale w jednym wypadku wpływ był szczególnie silny. Godlewski adoptował świat fantazji France'a i całkiem uswoił. France go pouczył, jak z poezją bajki pogodzić zmysł dla historji, mitologji, archiwistyki. On niewidzialnym prawodawcą w świecie duchów Jacka Wolskiego (p. str. 65). On nauczył, co włączyć, co wyłączyć, czem się interesować, czem nie, i jak spleść elementy bajkowe i ludzkie.

Świat fantazji Godlewskiego urządził się zatem na prawie baśni France'a, a nawet przyjął za swoje niektóre kształty (kozłoludy!). Przyjmując te konwencje, olśnił oryginalnością. Nietylko bowiem wysnuł własne wątki, ale zadziwił szczegółami. Każdy nanowo imaginował, każdy wymodelował indywidualnie. Z Jackiem Wolskim po raz pierwszy wszedł do bajki nerwowiec nowoczesny, z krytycyzmem i humorem ludzi naszej epoki. Nowoczesnością umysłu przypomina Godlewski Dawida Garnetta, autora wybornej powieści o „Pani przemienionej w lisa“. Na tym, uderzającym zresztą, rysie kończy się podobieństwo kulturalne między obu świetnymi fantastami.

Anglika pewno nie znał, gdy France'a wertował, niczem Jacek Wolski Andersena pod ulubionem drzewem w Łazienkach. Może, kiedy czytał „*Le Génie Latin*“, wpadł mu w oko urywek (z „*Remarques sur la langue de La Fontaine*“), gdzie mowa o tem, jak piszą dobrzy Latynowie. Polak mógł wziąć do serca równie szczerze, jak byle Francuz, uwagi mistrza. Tylko nie mogły go one nauczyć

ani polszczyzny, ani artyzmu. Te zawdzięcza sobie: ma własne, a przecież odnieść można do niego słowa France'a:

„Z lektury wielkich pisarzy wynosimy wrażenie, że język rozszerzył się i nabrał mocy. Biorą z zasobów dobra pospolitego, ale rozrządzają genjalnie tem bogactwem wspólnem... Oto La Fontaine: tylu słów używał, a nie wymyślił żadnych nowych. Zauważmy, że dobrzy pisarze naogół wystrzegają się neologizmów. Dobro wspólne językowych zasobów im wystarcza. A nie wszyscy piszący potrafią niem umiejętnie gospodarzyć. Komu brak talentu albo pracowitości, nie wygospodaruje, czego mu trzeba..."

Otóż w tem Godlewski jest i dobry Latyn i oryginalny pisarz polski, że słownictwo swe wziął całe z pospolitego dobra polszczyzny, a jednak osiągnął ten efekt, że język jakby poszerzył się i nabrał mocy...

Mało wdzięczny trud szukać w utworze, tak dobrze napisanym, drobnych nawet usterek stylowych. Jedną, zdaje nam się, dostrzec można zaraz na początku „Grabinki" (s. 17), w zdaniu: „Marzył o stworzeniu czegoś niezwykłego, czego jeszcze nikt przed nim nie opiewał". Trudno było innym opiewać coś, czego Jacek jeszcze nie stworzył. Widać słowa są tu (rzecz dziwna) źle użyte.

Ale do rzeczy. I troskę o kształt utworu okazał Godlewski godną Latyna. Pełno jest w jego zbiorze rozmaitych regularności. Każda nowela składa się oto z trzech rozdziałów. Środkowy wypełnia stale opowiadanie fantastycznej postaci: Grabinki, Pronobisa, Warszowej czy Wokulskiego. W trzecim zawsze umieszczony sonet. Znowuż i te sonety następują w pewnym porządku: „Czwartek", „Piątek", „Sobótka", „Apoteoza". Natomiast psują trochę konstrukcję rozmowy Jacka, będące prologiem i epilogiem „Grabinki", wykrzywiające symetrję całości.

Jeszcze jeden rys charakterystyczny byłby dowodem pokrewieństwa kulturalnego między Godlewskim, a Latynami. Wiadomo, że w kręgu cywilizacji rzymsko-helleńskiej nie wybujała poezja, wrażliwa na przyrodę; że w tradycjach jej nie leży wyraz sympatji głębokiej dla wiatru, liścia, owadu... Godlewski potwierdzałby swą twórczością to znane spostrzeżenie. Jest on już wprawdzie i dziedzicem „romantyzmu", który nietylko do pewnego stopnia wyswobodził w poetach uczucie miłości przyrody, ale też szybko stworzył konwencjonalny obowiązek wrażliwości na jej piękno. I Godlewski chwilami niby je widzi: ale naogół raczej z klasykami woli nie widzieć go wcale, niż według szablonów romantyzmu oglądać bezdusznie. To też, choć kocha park łazienkowski, nie umie interesować się ogrodem: wyobraźnią widzi tylko element ludzki i historyczny. Park w świetle księżyca wyda mu się w sposób naturalny salonem: „Depcząc kobierzec miesięcznego blasku, aplikowany cieniami gałęzi, skierowali się w stronę głównej alei..." „Gramatyka" przenośni zastępuje mu łacno obserwację przyrody: „Pasły się tam całe t a b u n y pasikoników i całe s t a d a bożych krówek" (s. 110). Tabuny i stada — koniki i krówki — wyrazy dyktują tu obyczaje owadom. Przytem, o ile nam wiadomo, biedronki nie pasą się na wrzosach. — Koniki polne kocha Godlewski głównie za ich niezwykłe (to prawda) zalety literackie. Te zielone rumaki doskonale dają się ustawiać w tabuny, a wyobraźni mitologizującej uzmysłowią jeszcze — pegazy. Czułe są słowa poety, zwrócone do ulubionego owada w sonecie „Kośba" (z „Grabinki", 1927):

„Konik polny, maleńki pegaz wiatronogi..."

Ale serdeczność ta nie sięga tak daleko, by kwapił się odróżnić pasikonika od świerszcza. Dla Jacka — to jedno i to samo (s. 110).

Co najciekawsze, miłośnik parku kochał raczej konwencje literackie drzew, niż drzewa same. Jak wiemy, Jacek godzinami siadywał pod grabem, ocieniającem ławkę nawprost wysepki na łazienkowskim stawie. Z pnia drzewa wyszła dryada. Grab i dryada Grabinka zgodziły się pięknie w „gramatyce" wyobraźni, a tej oderwanej, przyjemnej składności nie zepsuje oczywiście okoliczność, że wzmiankowane drzewo było wiązem, a nie grabem. Łatwo to sprawdzić w Łazienkach według wskazówek noweli. Drzewo, co ocieniało Jacka, stoi, jak łatwo można stwierdzić w Łazienkach, nawprost wysepki. Najprawdziwszy wiąz. Ukrywał w sobie nimfę — Grabinkę czy Wiązankę? — Grab stoi bliżej pałacu, na miejscu położonem naskos od wysepki.

Jak widzimy, ciekawość i wrażliwość Godlewskiego naogół obracają się w kole, nakreślonem dla nich kredą przez Latynów. Ale jakie czynne są wewnątrz tej granicy! Pomimo posłuszeństwa kanonicznego najmocniejszą stroną natury poetyckiej Godlewskiego jest właśnie odczucie osobiste. Dlatego Polskę pokazał w „Warszawie" tak świeżą. Książkę jego przepełnia mocny, a tak rzadkim gościem będący w beletrystyce naszej — nacjonalizm osobisty. Nie nacjonalizm haseł, lecz głębszy i trwalszy nacjonalizm babiego lata i kwaśnego mleka. I zdajmy sobie sprawę, jak niezwykłem zjawiskiem jest w naszej prozie łaciński artyzm Godlewskiego, jak niezwykłem zdarzeniem w powojennej dobie jego książka. Upowszechniło się mniemanie, że „umysłowość nasza jest najbliższa francuskiej", a w popularnem tem zdaniu*) maluje się tylko nasze oddalenie od Francji. Tak od niej jesteśmy daleko, że nawet nie dostrzegamy, jak błędne powtarzamy uogólnienie. A już najmniej wspólnego z tradycją łacińską mają prądy imitacyjne, w których lawiruje nasza twórczość powojenna. Według różnych systemów — uczyły tylko bezładu myśli i słowa. Można sprzeczać się o wartość „bezładu". Bezsprzeczne to, że zanikł, jak nigdy, ideał jasności i logiki. Nikt u nas do niedawna nawet wyobrazić go sobie w beletrystyce nowoczesnej nie umiał. Niespodzianie uprzytomnił go ze świetnością osobistego wyrazu — niezależny poeta, a przez to dał utwór w całym powojennym dorobku naszej beletrystyki — poniekąd najoryginalniejszy. Odciętym od Europy przypomniał siłę jednej wielkiej tradycji europejskiej, a nerwami, sercem, obserwacją najściślej wiążąc swą rzecz z rodzimością, przysporzył utworowi prawdy, i uczynił ze swej bajki wiadomość poetycką, godną przetłumaczenia na obce języki. A do skarbca trwałych wartości literatury ojczystej dorzucił już, szczęśliwiec, swoją odrobinkę.

WITOLD CHWALEWIK

---

*) Tu cytujemy za prof. St. Grabskim, w/g broszury „Naród i Państwo", str. 30 (Lwów, 1922).

GŁOSY

PANEUROPEJCZYK LEDNICKI MIAŁ I MA WSZĘDZIE „SWOICH“ LUDZI. Paneuropejczyk jest mason i żydofil. Oczywiście paneuropejczyk jest kreaturą w ręku jednych, a zarazem posuwa na szachownicy politycznej swemi pionki. Posuwa w różne strony, reżyseruje, kręci, montuje.

Otóż głośny dziś i wysokie piastujący godności p. August prowadził był z ramienia paneuropejczyka akcję prasową. Podczas wojny europejskiej znalazł się w Londynie. Wygłaszał prelekcje, pisał, agitował, czemś kierował.. stał na czele... Instytucję finansowali pp. Wittenberg i Reichmann (uwaga!), a p. August — stał na czele. Taki komitecik, informacyjny; o sprawach polskich referujący Anglikom. A wogóle robił p. August w opinji, tym razem angielskiej. Inni pracowali w bawełnie, nafcie, a p. August — w opinji. Dla ojczyzny. I dla tej ojczyzny pracując bzdurzył Anglikom, że maluczko a zostanie prezydentem Rzeczpospolitej nie kto inny tylko paneuropejczyk, bo nie jest zgoła pigmejczyk, jeno wielki mąż stanu, cały „ambasador" rady rejencyjnej. Zabiegał tedy p. August w interesie paneuropejczyka tu i tam, zabiegał przeważnie na lewo, urabiał aktywistycznie Anglików co podatniejszych, radykalizujących a germanofilsko usposobionych. Umieszczał p. August w *„Manchester Guardian“* listy, w których tłumaczył Anglikom, że Polski Komitet Narodowy to taki zwyczajny uzurpator, a Dmowski to zachłanny nacjonalista, reakcjoner i o zgrozo — antysemitnik.

Mr. August stał na czele... przekonywał... wyjaśniał... urabiał.

I nie wierzył.

Nie tylko był zdecydowanym germanofilem, ale i niedowiarkiem. W Lozannie w r. 1917 zawołał drwiąco na ulicy:

— Co, to pan jeszcze wierzy w zwycięstwo koalicji i zjednoczenie Polski?

— Oczywiście! — brzmiała odpowiedź.

— No, ja rozumiem, że panowie tak muszą mówić, ale — dodał p. August, mrużąc lewe oko — nikt z was przecież nie może w to wierzyć.

Mr. August nie wierzył. Dostał niedawno order *Polonia Restituta*.

POSŁOWI SINZHEIMEROWI, KTÓRY OBRADOWAŁ W KOMISJI ODPOWIEDZIALNOŚCI niemieckiego zgromadzenia, możemy być wdzięczni za jego rewelację. Wiemy z niej, że pierwszym warunkiem Niemców w chwili ich propozycji pokojowej dn. 12 grudnia 1916 r. było „uznanie Królestwa Polskiego“. Oczywiście chodziło Niemcom o stworzenie faktu dokonanego: uznanie Polski w granicach zakreślonych przez Niemców.

Mr. August zabiegał w Londynie w r. 1917 o uznanie rady rejencyjnej czyli o aprobatę przez koalicję koncepcji niemieckiej.

Mr. August nie był odosobniony, pracował, przekonywał, wyjaśniał, tłumaczył — nie sam przecie. Działał w związku z tym i owym. Był w „Związku“, do którego należeli i p. Reichel i p. Beck *e tutti quanti*. Finansowali przedsiewzięcie pp. Wittenberg i Reichman (Uwaga!!).

Mr. August stał na czele... zabiegał... był tu i tam... przystawiał stołka... kopał dołki... przekonywał... wyjaśniał... robił w opinji...

A wogóle urabiał grunt.

Pisywał do *„New Europe“*, pisma nieprzyjaźnie dla Polski usposobionego. A w tym *„New Europe“* wpływy nieladajakie posiadał pisujący tamże drugi mister, tym razem Lewis B. Namier czyli po naszemu Ludwik Bernstein z Galicji, zarazem urzędnik *Foreign Office*.

Mr. August działał nie tylko aktywistycznie, ale i aktywnie. Działał na gruncie londyńskim i słał raporty antyangielskie do aktywistów w kraju.

Kopał dołki pod Komitetem Narodowym, który domagał się zwrotu zaboru niemieckiego, Gdańska i Górnego Śląska. Na ręce Nabokowa, rosyjskiego pełnomocnika w Londynie, składał protesty przeciw działalności grupy Dmowskiego. Te protesty kierował do Tereszczenki, rosyjskiego ministra spraw zagranicznych. Mr. August stał na czele... zabiegał... urabiał grunt...

Popierała go finansjera żydowska i angielskie sfery *ultra* radykalne czyli germanofilskie.

W uznaniu zasług Mr. August został odznaczony wstęgą orderu Niepodległości.

Spójrzmy na jego oblicze: słodko, rozkosznie zadowolone. Z siebie i z życia. Oblicze pełne beztroski. Symboliczne.

GDY KRYTYKA W DZISIEJSZYCH WARUNKACH nie bardzo może się wypowiedzieć, o upadku naszego znaczenia w stosunkach międzynarodowych więcej mówią nam — cudze pochwały. Ich rodzaj nieraz wymownie świadczy o poziomie, na jaki się obsunęliśmy. Ceniony przez pisma sanacyjne Augur (Poliakoff) tak nam winszował ostatniego sukcesu londyńskiego („Ilustrowany Kurj. Codz.“, Nr. 352): „Minister spraw zagranicznych Polski p. Zaleski opuścił przed tygodniem Londyn. Mieliśmy więc czas, by wyrobić sobie zdanie o wrażeniu, jakie jego wizyta wywołała. Wrażenie to jest dobre. Mówi się tutaj, iż „Polska stała się kartą w grze europejskiej.“ Znaczy to, że kierujący polityką zagraniczną Anglji otrzymali dokładne wyjaśnienie co do położenia Rzplitej i co do jej stanowiska wobec wielkich problemów europejskich. Zapisujemy też na korzyść p. Zaleskiego, że powstrzymał się od skarg przeciw nowemu kierownikowi celnej polityki angielskiej... Tak więc stworzono bardzo korzystną podstawę do rozmów jeszcze bardziej korzystnych w najbliższej przyszłości.“ — Pomińmy to, że minister powstrzymał się skarg. Pomińmy nawet i to, że wizyta, która narazie nic nie konkretnego nie dała, może być zato wstępem do pertraktacyj bardziej korzystnych w przyszłości. Zanotujemy ten sukces *prestige*'owy (w opinji sanacyjnego pisma): — „Polska stała się kartą...“ Czytelnicy „Gazety Polskiej“ myśleli niezawodnie, że stała się już i mocarstwem. Tymczasem, w świetle komplementów Angura, rzecz przedstawia się skromniej. Minister nasz wobec ministra spraw zagranicznych Anglji złożył wyjaśnienia, dzięki którym stało się

po raz pierwszy wiadome, jakie jest nasze stanowisko wobec wielkich problemów europejskich. Znakomite wyklarowanie się myśli — chlubne dla „sanacji", lecz nie dla państwa. Jak wiadomo, powszechna dotąd była na zachodzie niepewność co do wytycznych polityki polskiej, wyrażająca się w popularnej formule: „Niewiadomo, co on zrobi jutro." Teraz — widać — nie podtrzymujemy dłużej klasycznego stanu niepewności. Staliśmy się jednostką o polityce wyraźnej i określonej — „kartą", jaką Łotwa np. jest oddawna. Zaiste, trzeba być „mocarstwowcem" dzisiejszych czasów, żeby podobną promocję przyjmować z zadowoleniem. Dodajemy, trzeba mieć też niewybredne ucho, żeby dać sobie je łechtać podobnem i komplementami. Gdy prasa sanacyjna ze zrozumiałych względów nie odbija dziś wiernie głosów opinji zagranicznej, „angielski" akcent Angura coraz częściej dolatuje z jej łamów. To także charakterystyczne, że Żyd rosyjski, z moskiewskiej rodziny Poliakowów, naturalizowany w W. Brytanji zaledwie przed paru laty, filar propagandy polskiej w Anglji, a wśród Anglików postać równie egzotyczna jak komiczna, awansował w prasie sanacyjnej na głównego dostawcę „pochlebnych recenzyj" z Anglji. I w drobiazgu tym dobrze się wyraża parodja „mocarstwowości". Odcięci od wiadomości ze świata, gratulujemy sobie wzrostu naszego znaczenia w polityce międzynarodowej. Skurczeni, przycupnąwszy, winszujemy sobie dzielnej postawy.

ARTYŚCI I MIŁOŚNICY SZTUKI TŁUMNIE PRZYBYLI święcić wesołą uroczystość otwarcia nowego pawilonu Instytutu Propagandy Sztuki. Zimowe palta pogrubiły wielogłowego gościa jeszcze o połowę. Szatnia, o dziwo, była „tylko dla ministrów". Możecie sobie wyobrazić los wiceministrów — i reszty. Tłum falował wesoło, ale komizmu sytuacji nie spostrzegł. Lokal był z kształtu murów nowoczesny, ale bez wentylacji. Prąd zimnego powietrza z drzwi, otwartych na dziedziniec, odświeżał spoconych. Ująłeś za klamkę — została ci w rękach. Ale oto znalazłeś się nakoniec w głównej sali. Istotnie, Warszawie i sztuce przybył nielada lokal wystawowy. Sądząc jednak z przemówień inauguracyjnych, przedewszystkiem przybył nam Instytut Propagandy Instytutu. — Pod gazą, rozpiętą u sufitu, popłynęły słowa jakiegoś mówcy, o „wiekopomnym dziele". Patrząc w muślin nad głowami tłumu, z szacunkiem myślałeś o epoce, co ambicję wiekopomneści wyraża nawet w utworach z tak lekkiego materjału. W tłoku o dokładniejszem obejrzeniu obrazów nie było mowy, co budziło żal tem większy, że już na pierwszy rzut oka zauważyć można było szereg dzieł na wysokim poziomie artystycznym, które niewątpliwie oceni na innem miejscu w „Myśli" pióro fachowe. Widoczny zato był oczom wszystkich portret marsz. Piłsudskiego pędzla Ryszkiewicza. Sądząc z wyróżnienia tego właśnie dzieła, Instytut pragnąłby reprezentować tendencje nieco bardziej konserwatywne od Zachęty. Portret ukazuje najbanalniejsze tradycje malarstwa portretowego. Czemuż o tyle lepsze są fotograficzne podobizny malowniczej postaci? Jak dla okrutnego kontrastu, niżej powieszono świetnie malowane dynie Witkowskiego.

NAUKA I LITERATURA

O LOS TOWARZYSTWA BIBLJOTEK PUBLICZNYCH

PRZYPOMNIANO niedawno stary, sięgający emigracyjnych jeszcze czasów, aforyzm Karola Sienkiewicza: „Nie każda bomba pęka, nie każda kula uderza, ale każda książka trafia". Dziśby aforyzm ten nie brzmiał już tak kategorycznie. Zbyt wiele się ukazuje, i zbyt różnych książek, by wszystkie trafiały — w cel; są nieraz źle wymierzone, nie dochodzą, mijają: strzelcy nazywają to „rozrzutem". Z książkami zatem, niby z kulą: Pan Bóg je nosi, niewiadomo gdzie upadną.

Aby ów rozrzut czytelniczy — w czasach niefachowości zostańmy przy tem „fachowem" porównaniu — ograniczyć do *minimum*, trzeba otoczyć go najtroskliwszą opieką. Winniśmy czuwać ustawicznie, aby jaknajwięcej dobrych książek trafiało, gdzie je wymierzono. Niedość książkę napisać i wydać; musimy nią jeszcze kierować. Są już do tego specjalnie powołani ludzie, pracownicy, instytucje, zrzeszenia. Ich nieustanną troską i zabiegliwem staraniem — trafia polska książka do polskiego czytelnika. Ci bezinteresowni pośrednicy są najszlachetniejsi z pośredników.

Towarzystwo Bibljotek Publicznych ogłosiło przed paroma laty sprawozdanie ze swej działalności. Estetycznie wydana broszura, w opracowaniu p. Wandy Dąbrowskiej, zawiera treść ważką i ciekawą. Okres sprawozdawczy — to zaledwie pięciolecie: 1923 — 1927. Ale zaraz na pierwszych stronach książeczki spostrzegamy, jak piękną — ba, siedmdziesięcioletnią — ma Towarzystwo tradycję. Wszak podjęło niebylejaki spadek: spadek starych, znanych ogólnie Czytelń Wydziału Towarzystwa Dobroczynności oraz dwóch innych jeszcze instytucyj: Towarzystwa Czytelń m. Warszawy i dawnego Towarzystwa Bibl. Publ. Koncepcja połączenia wszystkich bibljotek warszawskich pokrewnego typu legła u podstaw organizacyjnych dzisiejszego Towarzystwa, które też, świadome przejętych zobowiązań i imienia, nie ustawało w pracy chlubnej i powszechnie znanej. Niedarmo wśród antenatów swoich wymienia ze słuszną dumą Kraszewskiego, Pawińskiego, Karłowicza, Krzemińskiego, Chlebowskiego, Pługa, — ludzi uznanej zasługi społecznej i nieposzlakowanej narodowej cnoty.

To też nie zaprzepaściło Towarzystwo ofiarnego trudu poprzedników. Całą Warszawę objęła gęsta sieć bibljotek, sięgających w tej chwili pokaźnej liczby 25-u jednostek. Nie wymawiajmy z lekkiem sercem tej cyfry: 25 bibljotek, na różnych krańcach miasta, z wielotysiącznem mnóstwem książek, dzień w dzień dostarcza strawy dla umysłu wśród najszerszych warstw stolicy. I to są właśnie książki, które — trafiają. Trafiają zarówno do robotników, rzemieślników, jak i młodzieży szkół średnich i powszechnych; do mężczyzn i kobiet; do Polaków, ale do innych narodowości także; trafiają do wszystkich dobre, polskie książki, nad których dobrem czuwa się troskliwie, — na przedmieściach i w centrum, na Bródnie i na Powiślu, na Czerniakowie i Woli. I dlatego to jest wielka cyfra: 25 bibljotek — to dwadzieścia pięć stacyj polskiego słowa i polskiej kultury.

Większość bibljotek nosi imiona zasłużone w nauce i literaturze: Reymonta, Staszyca, Lelewe-

la, Słowackiego, Asnyka i t. d. Bibljoteki owe starają się gromadzić dzieła swoich patronów, a także dzieła o nich: Coperniciana na Tamce, Mickiewicza na Chłodnej; bibljoteka Staromiejska zbiera nadto literaturę historyczną o Warszawie.

Przewija się tu liczna rzesza czytelników; jedni wypożyczają za niewielką opłatą do domu, inni czytają na miejscu — książki, pisma, nawet podręczniki. Młodzież szkolna znajduje tu niezbędne pomoce naukowe, najmłodsi też potrafią coś dla siebie wyszukać, — i oto idzie w świat książka rozrywkowa wraz z poważną; książka, która bawi, obok tej innej, która radzi, uczy, prostuje.

Ale dlaczego o tem tak obszernie? Tej zbożnej pracy publicznej grozi katastrofa. Magistrat stołecznego miasta Warszawy ma cofnąć miejskie subsydjum. W chwili ostrego kryzysu gospodarczego na plan ostatni usuwa się sprawy kultury. Niema już pieniędzy na bibljoteki. 25 bibljotek w przededniu zamknięcia! Na nic tyloletnia, złotem pisana tradycja pracy bibljotecznej na gruncie Warszawy! Zagrożony jest los placówki, której użyteczności nikt nie kwestjonuje: wszyscy tę użyteczność widzą. Ale jedno jest niewątpliwe: niema pieniędzy. Trzeba szukać słów dość mocnych, słów — dzwonów, by grać niemi larum. Na to muszą się znaleść pieniądze. Leży przed nami odezwa, podpisana przez czytelników Tow. Bibl. Publicznych, wołająca wielkim głosem o utrzymanie instytucji. Leży przed nami odezwa druga, czytelników z Bibl. im. Kopernika, przy ul. Tamka, 44. Jest to jedyna wogóle bibljoteka — słyszymy — na całem niemal Powiślu; zamknięcie jej pozbawiłoby książki ludzi, którzy w najcięższych warunkach zdobywają wiedzę.

Może to wiara wbrew nadziei, ale przecież wiara: bibljoteki upaść nie mogą, nie upadną. Magistrat wspomóc winno społeczeństwo, — sposobności wszak nie brak, — i nie będzie przerwana ta ciągła praca; zbyt wielki uruchomił ją kapitał moralny.

Powiedział ktoś po francusku, że jeśli człowiek ukocha ten kwadrat nieba, który zawisł nad jego głową, jest o to niebo bogatszy.

To też podnośmy sprawę Towarzystwa Bibljotek Publicznych nietylko dlatego, że jest to sprawa słuszna i oczywista. Ale wszak dla nas, mieszkańców miast, kwadratem nieba zawieszonym nad głowami, jakże często jest książka.

Bez książki — zubożejemy.

TADEUSZ MIKULSKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

„Młody Polak w Niemczech", dodatek literacko-naukowy do pisma „Polak w Niemczech". numer 10-ty, realizuje projekt redakcji, aby wydawnictwem, nazwanem w programie „Nasz uniwersytet ludowy", uzupełnić brak szkoły polskiej w niemieckiej obczyźnie. Pierwszy, ozdobiony ilustracjami, artykuł „Książę Józef Poniatowski, bohater polskiego honoru" nawiązuje redakcja do orędzia ogłoszonego przez Hoovera, prezydenta Stanów Zjednoczonych, powołującego naród amerykański do uczczenia pamięci Kazimierza Pułaskiego i jego współudziału w walce Ameryki o niepodległość. Dalej w związku z odkryciem w podziemiach Bazyliki Wileńskiej grobowców króla Aleksandra Jagiellończyka, królowych Barbary Radziwiłłówny i Elżbiety, widnieje portret, wedle starego sztychu, Barbary i Bazylika w Wilnie, ujęte w ramy popularnego artykułu historycznego. Motywy tej epoki uwydatnił artystycznie balet Ludomira Różyckiego „Pan Twardowski", więc „Młody Polak" zapoznaje czytelników z legendą o Twardowskim, i podaje ilustrację mistrzowskiej dekoracji teatralnej Wincentego Drabika. I tak jak w poprzednich numerach pełni pismo rolę przewodnika po ziemiach Polski, i ukazuje jej zabytki architektoniczne i krajobrazowe. Widok z Puław na Wisłę, i zachowane z czasów sentymentalnego nawrotu do sztuki klasycznej budowle: Pałac Marynki, Świątynia Sybilli, Domek gotycki. A na dalszych kartach ciekawie zobrazowane Pieniny, również pod kątem wspomnień historycznych, z widokiem zamku w Czorsztynie i zamku w Niedzicy. Dla czytelników u nas będą krzepiącą pociechą wiadomości o życiu polskiej młodzieży w Niemczech i Prusiech Wschodnich. Mimo przykrych warunków i trudnych do wypowiedzenia przeciwności młodzież polska nie traci fantazji. Kółka muzyczne i sportowe w Raciborzu i Wrocławiu, biegi rozstawne gniazd sokolich w Berlinie, kurs techniczny gniazd sokolich okręgu saskiego w Lipsku, (Lipsk, Sanderdorf, Kriebitsch i Meuschwitz), jubileusz 25-cio lecia Koła Śpiewu w Neukölin, zawody lekkoatletyczne w Charlottenburgu pod Berlinem, wreszcie Zjazd Młodzieży Polskiej w Hamburgu, świadczą, że, mimo wszystko, „żywie Duch". (A. W.)

*

Zarząd Bibljoteki Miejskiej w Bydgoszczy wydał dla upamiętnienia 10-lecia swej pracy bibljotekarskiej księgę *in folo*, stron 277, zawierającą zbiór artykułów naukowych i literackich różnych autorów. Przedewszystkiem zdumiewa wzrok i zachwyca artystyczny wygląd księgi, wydanej ozdobnie na podobieństwo staropolskich druków średniowiecznych. Stroną redakcyjną i graficzną zajęli się dyrektor dr. Witold Bełza i kustosz dr. Teodor Brandowski. Okładkę podług druku Unglera w XVI w., godła drukarskie podług Łazarza i Vietora i inicjały wykonał Paweł Grinio w, a grafikony Halina Siemaszkowa. Druk i klisze Drukarni Bydgoskiej Spółki Akcyjnej pod kierunkiem Ignacego Balwińskiego. W tak umiejętnie przemyślanej i dobranej szacie zawarto nie mniej ciekawe i wartościowe teksty, chociaż, jak w wydawnictwie zbiorowem, wartością niewspółmierne. Na pierwszy plan wysuwa się studjum, skreślone mistrzowskiem piórem Józefa Weyssenhoffa „Polskie kalendarzyki polityczne", w których, jak w sądowej wokandzie trybunału woźnego Protazego, ukazane zostały momenty obyczajowe dawnej Polski, w oświetleniu i na tle badań analogicznej obcej literatury historycznej. Dalej bibliofilski wiersz Zuzanny Rabskiej „Noc w Książnicy". Ciekawe Aleksandra Birkenmajera „Nieznane rarissimum Sienkiewiczowskie". O „zapomnianym bibliografie polskim" Wiktora Hahna. Artykuł Adama Lewaka „Z wrażeń Rapperswilskich". Stefana Vrtel-Wierczyńskiego „Dzieło bibliograficzne Adama Junoszy Rościszewskiego", dotychczas w zbiorach Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie oczekujące wydania drukiem. Józefa Białyni Chołodeckiego, popularnego historyka lwowskiego, „Kresowa Biblioteka Polska w Czerniowcach". Wreszcie szereg artykułów innych, mniej znanych pisarzów zamyka wiersz humanistycznego pisarza, Marcina Bielskiego „O czytaniu". Wszystkie te wyżej wymienione utwory, w związku z bibliografią i bibliofilstwem, stanowią cenny przyczynek do dalszych w tej materji badań, a wydawnictwo Biblioteki Miejskiej w Bydgoszczy dzielnie wspomogło, powstrzymywaną w okresie zaboru, kulturę w Wielkopolsce. (A. W.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„Marie-Antoinette Lix, lieutenant de uhlans polonais, lieutenant de francs-tireurs" (Plon édit.) jest rzeczywiście niezwykłą bohaterką i jakoby symbolem odwiecznej przyjaźni francusko-polskiej. Jej to nadzwyczajną epopeję przedstawia nam na podstawie dziennika „oficera polskich ułanów" w spódnicy pani Ludwika Zeys. Marie-Antoinette jest sierotą, wychowaną przez ojca, starego żołnierza, który córce swojej daje wychowanie nawskroś męskie, ucząc władania różną bronią i jeżdżenia konno. W tych warunkach młoda dziewczyna nawet chodzi ubrana po męsku, aż do chwili, gdy wreszcie pod wpływem rodziny, stary żołnierz oddaje ją do klasztoru. Tam to następuje powolna metamorfoza Marie-Antoinette, przeradzającej się w kobietę, odznaczającą się wysokiem uczuciem religijnem i niemniej głębokim patrjotyzmem. Wychodząc z klasztoru, traci ojca. Wówczas opuszcza Alzację, udając się jako nauczycielka do Polski i przebywa u hrabiów Łubieńskich. Tam zastaje ją powstanie 1863 r. Okoliczności sprawiają, iż jest ona wmieszana w walkę, odznacza się na polu bitwy i zostaje mianowana porucznikiem. Michaël le Sombre (bo takie było przybrane nazwisko Antoinette Lix) dostaje się jednak w ręce Moskali, a jeżeli uchodzi z życiem, to dzięki swej narodowości francuskiej. Musi jednak opuścić Polskę. We Francji po powrocie pracuje jako urzędniczka pocztowa w Lamarche w Wogezach. Skoro jednak wybucha wojna 1870 r., odzywa się w niej jej krew żołnierska. W wojsku regularnem jednak przyjąć jej nie chcą, dlatego zaciąga się do wolnych strzel-

ców, gdzie przywrócony jej zostaje stopień porucznika. Antoinette Lix odznacza się nietylko odwagą, hartem ducha, ale i dobrocią, która jej zjednuje serca podwładnych i szefów. Bierze ona udział w sławnej walce *„de la Burgonce“*, po której to potyczce oddziały strzelców, mocno przerzedzone, zostały połączone z wojskiem Garibaldiego. Antoinette Lix opuszcza wówczas szeregi żołnierskie i powraca na swe dawne stanowisko urzędniczki pocztowej. Stargane jednak zdrowie zmusza ją do szukania schronienia w klasztorze Notre-Dame-de-Sion, a później w Paryżu, gdzie oddaje się dobroczynności i literaturze. Nadzwyczajna ta bohaterka polsko-francuskich walk o wolność, umiera w 1909 r., nie doczekawszy się niestety ani oswobodzenia swej przybranej Ojczyzny, ani też oswobodzenia swej rodzinnej Alzacji.

Książkę tę pani Ludwiki Zeys, również zresztą alzatki z pochodzenia, czyta się z ogromnem zainteresowaniem. Dodajmy jeszcze, że przedmowę do niej napisał p. Jules Cambon, były ambasador francuski i członek Akademji. (I. B.)

*

Akcja *„Barriéres“ (Grasset édit.)* rozgrywa się w prowincjonalnym zamku. Stary Sauvin-Qunci, jeden z bohaterów książki p. Léon-Martin, jest do ziemi ojców i ich siedziby bardziej może przywiązany aniżeli do samej rodziny. Nie wyobraża sobie nawet, żeby mógł żyć gdzieindziej, w innem otoczeniu, mając przed oczami jakikolwiek inny krajobraz. Przyjdzie jednak chwila, w której stary dziedzic zmuszony będzie opuścić te drogie zakątki. Syn bowiem jego poślubia Claire, młodą kobietę, która tak nudziła się w tym zamku, że niewinny zrazu jej flirt przybrał potem bardzo poważne rozmiary. Skoro mąż i ojciec dowiadują się o jej postępowaniu, ten ostatni daje do wyboru synowi, albo żonę, albo jego. Jerôme wybiera Claire, która odtąd będzie żyła w pięknym zamku, będącym dla niej właściwie więzieniem. Powoli też nastrój powstaje w nim taki, że sam Jerôme opuszcza go. Wówczas natomiast powraca doń stary ojciec, przebaczając synowej, a uważając właściwie syna za dezertera od rodzinnych wspomnień, rodzinnej ziemi, która stanowi jego jedyną rację bytu. Jeżeli sama fabuła tej powieści jest nieco sztuczną i arbitralną, niemniej na uwagę zasługuje zwłaszcza atmosfera, w jakiej rozwijają się wypadki tego rodzinnego dramatu. (I. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

KRAKÓW ma bardzo piękną kartę w historji naszej sztuki nie dlatego tylko, że w nim swego czasu ogniskowało się życie artystyczne kraju, lecz i dlatego, iż to życie w owocach swych, to znaczy dziełach sztuki, posiadało charakter wybitnie polski. Po impresjonizm jeżdżono do Paryża, ale wróciwszy urabiano go na modłę i użytek własny. Dla przykładu wymienię dorobek z tej dziedziny, chociażby w zakresie pejzażu. Teraz role się zmieniły: Warszawa przoduje i znowuż przyczyny są te same — najwięcej tu się skupiło wybitnych malarzy i twórczość ich mniej ma w sobie obcości od malarstwa młodego Krakowa, stojącego zupełnie wyraźnie pod znakiem Paryża. A młody Kraków znalazł się w takiej sytuacji, nie by się nie mógł z braku woli, lub indywidualności, od przerostu wpływów uwolnić (toby jeszcze było pół biedy), gorzej, oni tam uważają, że tak właśnie powinno być. To samo zapewne myśli dwunastu młodych malarzy, t.z w. „Kapiści“, wychowankowie Krakowskiej Akademji. Tam się uczyli, potem siedzieli siedem bitych lat w Paryżu, malowali, a teraz wystawiają w polskim klubie artystycznym „Polonja“. Młodzi lubią różne manifesty, więc i „Kapiści“ nie żałowali sobie i kropnęli wstęp do katalogu. Znajdujemy tu powiedzonka rozmaitej wartości. Np. takie: „im bardziej celowo płótno będzie dotykane farbą“... Dotykane farbą? Hm, co to jest? Nie trzeba zaglądać do słownika, aby się domyśleć, że dotykać farbą, ma znaczyć: malować. Ale autor tego sztucznego zwrotu łudzi się, iż w ten sposób odkrywa i komunikuje nam nową prawdę. Natomiast zgadzamy się bez zastrzeżeń z powiedzeniem: „Wszelka technika nie celowa, t. j. niedyktowana koncepcją plastyczną, jest manieryzmem“. Brawo! Dalej: „Głównym warunkiem powstania obrazu jest jego koncepcja malarska. Niezależnie od tego, czy płótno było malowane z wyobraźni, czy z natury, zawsze musi być widoczny malarski powód (podkr. moje) dla którego było stworzone”. Oj, tu panom znowu się poplątało. Mianowicie powód z warunkiem. Dla wyjaśnienia sytuacji zacznijmy od początku. Jestem artystą. Mam coś do powiedzenia. Chcę to powiedzieć. Aby to zrobić, muszę władać którąkolwiek z form artystycznego wypowiadania się, w tym wypadku malarstwem, to jest warunek wypowiedzenia się (możliwość powstania dobrego obrazu). A powody (chęć) mogą być inne, całkiem inne. Wniknięcie w tak mylne, mojem zdaniem, postawienie przez „kapistów“ sprawy, daje klucz do zrozumienia całej ich sztuki... *pardon* — malarstwa. Podnoszą oni — słusznie — znaczenie malarza, ale negują — niesłusznie — artysty. Istnieli i istnieją znakomici artyści, których środki malarskie są wcale ubogie. Może przez omyłkę, że zostali plastykami, zamiast np. poświęcić się poezji? Nie, wcale nie dlatego.

„Kapiści“ mają dużo kultury, ale mało indywidualności. Jest wśród nich jeden szczery talent, liryk, poeta barwy, który nią śpiewa, a nie stara się podrażnić kolorem naszej zblazowanej wrażliwości, jak inni: Waliszewski.

WIKTOR PODOSKI

NOWE KSIĄŻKI

Banasiński Eugenjusz dr. Japonja—Mandżurja Studjum polityczno-ekonom. Wydaw. Instytutu Wschodniego. Warsz. 1931. Str. 170 i mapy.

Nittman T. M. Pod ręką Fatmy (z ilustr.) Warszawa 1930. Książnica Atlas.

Błażek Bolesław. Przez kraj słonecznych dolin i górskiej głuszy. Warsz. 1931. Książnica Atlas.

Jarosławski Mieczysław. Między Eufratem a Tygrysem. 2 tomy. Warsz. 1931. Książnica Atlas.

Mickiewicz Adam. Pan Tadeusz. Opracował Konrad Górski. Lwów. Ossolineum.

Kleiner Juljusz. Literatura polska. T. I cz. 2. Lwów. 1931. Ossolineum (z ilustr.) Str. 208 i tabl.

Wyspiański Stanisław. Dzieła T. VI. Fragmenty dramatyczne. W opracowaniu i z przedmową Leona Płoszewskiego. Warszawa (1931). Instytut Wydawn. „Bibl. Polska“.

Cybulski Łada Adam. Z mroku jaśniejące słowo. (Walka z szatanem. Rzecz o teatrze St. Wyspiańskiego). Paryż 1931. Nakładem autora. S. 151.

Śliwiński Artur. Na przełomie dwóch epok Warsz. 1931. Gebethner i Wolff. S. 155.

Wyrzykowski Stanisław. Plon życia. (Poezje). Warsz. 1931. Dom Książki Polskiej.

Prusy Wschodnie. Książka zbiorowa pod redakcją Marjana Zawadzkiego. Poznań. 1932. Nakładem Związku Obrony Kresów Zachodnich. S. 338.

Zeszytem niniejszym zamykamy rocznik 1931 r., dla tego dołączamy kartę tytułową drugiego tomu ze spisem rzeczy. Karta tytułowa i spis rzeczy pierwszego tomu znajduje się w Nr 31. Kompletując oba półrocza, należy te załączniki wyjąć i położyć na czele każdego tomu.

W administracji „Myśli Narodowej“ (ob. ogłoszenie) nabywać można teczki. Zeszytów, którychby brakowało przy kompletowaniu (oprócz skonfiskowanych), chętnie w miarę możności dostarczymy.

OFENSYWA

TYLKO CYTATY...

STEFAN BATORY na posiedzeniu Sejmu w lipcu r. 1585, po powrocie z wojny i po zdobyciu Połocka:

„Moja chwała bowiem Waszą jest i naodwrót wasza chwała moją jest“.

*

Wilhelm II w pamiętniku z r. 1920:

„Musiałem ustąpić, gdyż inaczej musiałbym walczyć z całą zgrają złodziei, którzy doprowadzili Niemcy do haniebnego pokoju. Ja jeden tylko miałem rację, ja jeden, który odniosłem tyle zwycięstw podczas wojny światowej i prowadziłem ojczyznę od trjumfu do chwały, podczas gdy wszyscy inni popełniali błędy“.

*

Bismarck w „Pamiętniku“:

„Trzysta pięćdziesiąt osób decyduje o losach państwa, mimo że zaledwie pięćdziesiąt wie wśród nich, co czyni, a nawet wśród tych pięćdziesięciu jest ze trzydziestu ambitnych arogantów, pozbawionych skrupułów, albo komedjantów, wydętych próżnością“.

*

Papież Pius IX dnia 18 stycznia r. 1874 do pielgrzymów:

„Bismarck jest wężem w raju ludzkości. Wąż ten skusi naród niemiecki do wywyższenia się ponad samego Boga. Takie zaś samowywyższenie się doprowadzi do poniżenia, jakiego jeszcze żaden naród nie pokosztował. Nie my, lecz Przedwieczny wie, czy z góry wieczystej zapłaty nie oderwało się już ziarnko piasku, które, tocząc się w dół, rośnie jak lawina, by po latach dosięgnąć glinianych stóp tego mocarstwa, krusząc potem to mocarstwo, co jak wieża Babel Bogu na urągowisko podniesione zostało, a ku chwale Bożej zginie“.

*

M. Mochnacki lat temu sto jeden, w grudniu r. 1830 w „Nowej Polsce“:

„W imię jedności i zgody tylko co nie zgubili Polski przyjaciele dyktatora.

Wszelką przeciwko niemu opozycję nazywano zdradą kraju.

Wierzmy dyktatorowi bo to, wielki człowiek! słynie w Europie, on sam jeden zbawi Polskę. Rada Najwyższa przypatrywała się codziennie sprawom jego. Wierzono Radzie Najwyższej. Exsekretarz dyktatora wiedział o wszystkiem, a nikomu nie powiedział. Wierzono exsekretarzowi exdyktatora. Co większa! terroryzm politycznego obskurantyzmu doszedł do tego kresu, że ci nawet, którzy mieli oceniać postępowanie exdyktatora sami sobie wierzyć nie chcieli.

Mistrzował w Polsce po wszystkie czasy, panował, broił ów terroryzm nazwiska, terroryzm łatwowierności. Byliśmy i jesteśmy dotąd dziwowidzami, chwalcami, panegirystami bądź mniemanego talentu, bądź urojonej jakiejś przewagi.

Nic łatwiejszego, jak zostać w Polsce sławnym i popularnym...

Sławy, reputacji, popularności dostać u nas można jak lichego na jarmarkach towaru.

Ta mniemana sława, ta czcza reputacja, ta urojona, wmówiona popularność szerzy się następnie jak dźwięk hucznego dzwonu w powietrza kręgu, uzbraja się całą potęgą terroryzm łatwowierności szczerej lub udanej i ludziom myślącym nakazuje milczenie terroryzmem politycznego nierozumu. Biada temu u nas, kto myśli swoją głową i swojem rozumowaniem rzeczy około siebie pojmuje“.

*

Hr. Cavour'a „Pamiętnik“:

„Nie mam żadnego zaufania do dyktatury. Wierzę, że z parlamentem można to zrobić, coby się nie udało nigdy absolutyzmowi. Trzynastoletnie doświadczenie pouczyło mnie, że uczciwy i energiczny minister, który nie potrzebuje się obawiać żadnych rewelacyj z trybuny i nie da się zastraszyć gwałtowym partyjnym walkom, może wszystko otrzymać od parlamentu. Nigdy nie czułem się tak słaby, jak wtedy, kiedy Izby były zamknięte“.

*

Carlo Sforza: „Dyktatury ewropejskie“. R. 1931:

„Ci Polacy z dawnej Rzeczypospolitej wykuli oryginalną i ultrapolską zasadę: Polska nierządem stoi. Człowiek silnej woli Piłsudski wydaje mi się wciąż uosobieniem tej maksymy...

Polacy widzą w dyktatorze siebie samych jak w lustrze. Wszystkie ich wady i zalety ujawniają się w kapryśnej, wybuchowej jaźni ich obecnego pana“...

Jako prawdziwy przyjaciel Polski chciałbym im poradzić: dobrze robicie, że boicie się Rosji sowieckiej, ale jeszczeby lepiej było pamiętać o losach Rosji carskiej“.

Tamże: „...Dyktatura jest zorganizowanem panowaniem p l e b s u, często przy pomocy doraźnych sądów Lyncha. Wszyscy dyktatorzy okazali się demagogami, zaś pragnący być dyktatorami arcydemagogami. Żaden premjer w Europie tak nie rzucał wytartych haseł, jak ci dwaj lub trzej dyktatorzy, którzy w Europie chwilowo są przy władzy.“

*

Ałdanowa „Portrety“:

„Sens polityczny sprawy majowej, a zwłaszcza jej związek z temi ideami, którym Piłsudski służył przez całe życie, pozostają w znacznym stopniu nieokreślone. Można wątpić nawet, czy sytuacja Polski jest teraz bardziej ustalona, niż przed dojściem Piłudskiego do władzy i czy młode to państwo jest bardzo odległe od ciężkich wydarzeń...

Przez szacunek dla niezwykle wybitnego człowieka i dla wysokiego poziomu kultury polskiej, należy wiele faktów pominąć milczeniem, od artykułu „Dno Oka“ do niedawnego w sierpniu r. 1930 wywiadu, udzielonego przez Piłudskiego posłowi Miedzińskiemu, redaktorowi „Gazety Polskiej“. W związku z artykułami marszałka, filologowie polscy dokonywali rozmaitych dociekań humorystycznych. Artykuły te nie dostarczają jednak tematu do dowcipów. Na rozmaite dowodzenia, że celem marszałka jest rzekomo wzmożenie swemi przemówieniami i artykułami szacunku dla prawdziwego parlamentaryzmu i istotnych rządów ludu, można zapatrywać się jedynie jak na żarty. Życie Piłsudskiego szczególnie przekonywająco wskazuje na to, jak mało miejsca w tej jego współczesnej polityce zajmują zasady, a jak wiele namiętności... U żadnego męża stanu rozdwojenie duchowe nie ujawnia się równie dobitnie, jak u niego“.

*

Maurycy Mochnacki lat temu sto jeden w grudniu r. 1830 w „Nowej Polsce“:

„Obskurantyzm polityczny nie toleruje u nas żadnej opozycji. Opozycja mówna, lub piśmienna przeciwko władzy zowie się tu buntem, zdradą. Tak i cesarzewicz z Nowosilcowem rozumowali. Polska nie zginie brakiem obywateli i środków materjalnych, ale zginie terroryzmem nierozumu“.

Przepisał:

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Są u nas jeszcze „Polacy“, „ogólnie znani i szanowani“, którym w nekrologach, gdy umrą, takie właśnie epitety się daje; jedynem zaś uzasadnieniem ich chwały jest taka zasługa: „Zwłaszcza prawa m n i e j s z o ś c i narodowych znajdowały w nim czujnego i niezłomnego obrońcę“. Czem byli dla w i ę k s z o ś c i narodowej, o tem przez dyskrecję w nekrologach się nie wspomina. Smutny los masona, opłakiwanego przez mniejszość! Do jakiegoż narodu sam należał? Nikt nie wie. On sam nie wiedział.

*

P. Starzyński, wiceminister skarbu, pracuje podobno nad książką z dziedziny ekonomicznej p. t. „Ćwieki w głowie“, która ma być wydana jednocześnie w trzech językach: polskim, niemieckim i angielskim.

*

„Djabeł zwycięzca“ wojew. Kostka Biernackiego z Brześcia wzbudził zainteresowanie wśród sfer kierowniczych sowieckich. Na posiedzeniu *„Gosizdata“* postanowiono podobno wydać utwór Kostka Biernackiego w tłumaczeniu na szereg języków, przedewszystkiem na rosyjski, ruski i białoruski. Ciekawe, jak będzie z honorarjum, ponieważ Sowiety nie uznają prawa autorskiego w zakresie tłumaczeń...

*

Jacy są najbardziej „ujmujący“ ludzie w Polsce?

Minister Jan Piłsudski, który coraz to bardziej u j m u j e pensyj urzędnikom, i minister Jędrzejewicz, który wszystkie sprawy u j m u j e pod kątem tzw. wychowania państwowego. Słowem, praca o wyniku — u j e m n y m.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.